



Policzek

Byłem pierwszym cudzoziemcem, jakiego Zhou Lianchun spotkał w życiu – a miałem także stać się jedynym, który poznał całą skomplikowaną historię jego życia.

Pewnego paskudnego letniego dnia w 1966 roku w niewielkiej wiosce na północy prowincji Jiangsu, 400 kilometrów od Nankinu, setka rolników utworzyła długą kolejkę na klepisku należącym do Zespołu Produkcyjnego numer 7 w komunie ludowej Kuchnia Shen. Klepisko pełniło rolę wioskowego placu, otaczały je rozsypujące się parterowe chałupy zbudowane z gliny, cegieł i drewnianych belek, kryte szarą dachówką. Po całym placu biegały luzem kurczaki i prosiaki, szukając ziarna i jadalnych resztek. Zhou (wymawiane jak „dżou”) – chudy jedenastolatek o ogolonej głowie, w rozpadających się płóciennych butach – był dwunasty w kolejce.

Trzask! Trzask! Kolejka przesunęła się. Trzask! Trzask! Kolejny krok.

Zhou doszedł wreszcie do celu. Klęczała przed nim kobieta w średnim wieku, z jej nosa i uszu sączyła się krew. Zhou wyciągnął prawą rękę i – podobnie jak wszyscy przed nim – uderzył kobietę w lewą stronę twarzy. Trzask! A potem uderzył jeszcze raz, lewą ręką. Trzask! Na skórze poczuł pieczenie jej potu.

Zhou i jego sąsiedzi realizowali właśnie politykę partii. Wiosną tego roku, dokładnie 16 maja 1966, Komitet Centralny Komunistycznej Partii Chin ogłosił rozpoczęcie nowej kampanii politycznej zwanej „rewolucją kulturalną”. Partia wzywała do oczyszczenia Chin z niepożądanych czynników, pochodzących tak z zagranicy, jak i z chińskiej historii. Należało wyplenić zachodni kapitalizm, komunistyczny rewizjonizm rodem z ZSRR oraz to, co Przewodniczący Mao nazywał „feudalizmem” – spuściznę starożytnych Chin.

Mao Zedong ogłosił rewolucję kulturalną, aby odzyskać pełnię władzy i siły politycznej po katastrofalnym Wielkim Skoku – programie gospodarczym z drugiej połowy lat 50., który doprowadził Chiny na skraj upadku. W regionie, w którym mieszkał Zhou, całe rodziny były przenoszone ze swojej ziemi do wspólnych gospodarstw, gdzie nie tylko wspólnie uprawiano ziemię, ale nawet jedzono wspólnie w wielkich stołówkach. Uprawa prywatnych działek przyzgodowych – najbardziej efektywnej części miejscowego rolnictwa – została zakazana. Wioski zamieniły się w „brygady produkcyjne”. Trzydzieści takich brygad połączono, tworząc komunę ludową Kuchnia Shen liczącą w sumie około trzydziestu tysięcy ludzi. Ponieważ w tym czasie gorączkowo usiłowano zwiększyć produkcję stali, partia zdecydowała, że wszyscy członkowie komuny mają oddać swoje woki i taczki do przetopienia w przydomowych paleniskach.

Jeden z kuzynów Zhou umarł z głodu, innego zaraz po urodzeniu porzucono w powiśkach pod drzwiami komitetu partii – i nikt go więcej nie widział. Zhou i jego rodzina przeżyli jedząc zielsko, nasiona i wodnisty kleik podawany we wspólnej stołówce. Zawsze kiedy siadali do stołu, jak później wspominał, płakał na widok tego nędznego posiłku. Wszyscy byli niedożywieni, ich ciała puchły od zatrzymanych przez organizm płynów. Podobno zdarzały się przypadki kanibalizmu. W całym Chinach z głodu zmarło trzydzieści milionów ludzi.

因

Zhou urodził się w małej wiosce w pobliżu miasta Dongtai, niedaleko Morza Żółtego, jako syn miejscowego chłopca i kobiety, którą Chińczycy określali jako „brzuch do wynajęcia”. Ojciec Zhou sprowadził ją do domu, kiedy okazało się, że jego żona jest bezpłodna. „Brzuch do wynajęcia” najpierw, w 1948 roku, urodziła córkę. Rodzina zaczęła nazywać ją „Tą, która kocha swojego małego braciszka” – w nadziei, że uda się w ten sposób nakłonić los, aby obdarzył ich także synem. Siedem lat później urodził się Zhou. Jego imię – Lianchun – znaczyło „wieczna wiosna”. Kobietę, która go urodziła, nazywał „Małą Mamą”, a żonę ojca – „Dużą Mamą”. Duża Mama krępowała sobie stopy i miała kompletnego bzika na punkcie syna.

Rodziny dom Zhou przylegał do pól poprzecinanych kanałami irygacyjnymi transportującymi wodę z odległej o sto metrów rzeki San Cang. Lata w Jiangsu były gorące i duszne. Zhou i jego koledzy pływali w rzece, łowili ryby i słodkowodne krewetki. Lianchun był przedsiębiorczym dzieckiem, lubił przygody. Mając osiem lat zarabiał pieniądze sprzedając rzodkiew i kraby, w Chinach uznawane za przysmak.

Jedyny nawóz dostępny w Jiangsu pochodził z czegoś, co Chińczycy nazywali *fén* – ideogram wyrażający to pojęcie przedstawia szuflę i dwie ręce. Innymi słowy, chodziło o świeżo zbierane ludzkie odchody. Każdy Chińczyk wie, że powinien trzymać się jak najdalej od wózka zbierającego fekalia – rodzaju zaprzęzonego w konia cebra na kółkach, z którego dobywał się potworny smród – ale zbieranie ekskrementów należało do popularnych zajęć chińskich chłopców, podobnie jak roznoszenie gazet w Stanach. Ludzkie odchody nie są najlepszym nawozem, ale o inny było bardzo trudno, toteż chińscy chłopcy dawno nauczyli się rozrzucać *fén* po swoich polach, nie zważając na ryzyko roznoszenia zapalenia wątroby i innych chorób.

Zhou był w tej dziedzinie naprawdę świetny – miał sokole oko do ludzkiego łajna. „Oto mały chłopiec ze szpadlem i koszykiem myszkujący po uliczkach wioski – zanotował wiele lat później, opisując swoje dzieciństwo. – Skupiony tak, że można by pomyśleć, że wstał z łóżka bladym świtem, aby szukać zgubionego portfela. W rzeczywistości szukał gówna. Kiedy je znalazł – świeże i parujące – jego twarz wyrażała takie szczęście, jakby wygrał na loterii”.

Zhou pokazał mi ten esej na początku 2004 roku, kiedy spotkałem się z nim w Nankinie. Kiedy skończyłem czytać, przyjrzałem mu się uważnie. „Ciekawe hobby, nieprawdaż?” – uśmiechnął się.

Ja także jako dziecko byłem rzutki i przedsiębiorczy. Przez trzy lata roznosiłem gazety i sprzedawałem jogurt domowej roboty lokatorom budynku, w którym mieszkałem na Manhattanie – ale zbieranie ludzkiego łajna dla paru groszy nie mieściło się w mojej definicji „przedsiębiorczości”. W dodatku było to zajęcie dosyć ryzykowne: człowiek okazujący wówczas w Chinach jakikolwiek talent do interesów natychmiast był krytykowany jako „idący drogą kapitalizmu”.

Pod koniec okresu Wielkiego Skoku, w 1961 roku, partia stwierdziła, że winę za klęskę głodu ponosi wyłącznie Matka Natura, a nie

polityka Mao (do dzisiaj oficjalna chińska nazwa tego okresu brzmi „trzy lata klęsk żywiołowych”). Niezależnie od używanych eufemizmów niezadowolony Mao wycofał się ze swoich pomysłów, a bardziej pragmatycznie nastawieni przywódcy – między innymi niejaki Deng Xiaoping, który miał w przyszłości otworzyć Chiny na Zachód – usiłowali uzdrowić gospodarkę.

Ale Mao nie zamierzał odejść na polityczną emeryturę. Nie mógł zniszczyć swoich partyjnych rywali, oskarżając ich o niekompetencję – bądź co bądź poradzili sobie z głodem i sprawili, że Chińczycy znów mieli co jeść. Jedynym co mu pozostało było zatem nazwanie ich wrogami przeprowadzonej przez niego rewolucji. Wkrótce ze studentów i uczniów szkół wyższych zaczął tworzyć Czerwoną Gwardię, która w przyszłości miała stać się zbrojnym ramieniem jego nowej rewolucji. Młodzi ludzie, wychowani w społeczeństwie lubującym się w przemoc i niepamiętający czasów względnej wolności sprzed rewolucji, uczeni byli bezwzględnej lojalności wobec Przewodniczącego i fanatycznej nienawiści do „wrogów klasowych”.

W sierpniu 1966 roku pomocnik Mao, Lin Biao, wydał czerwono-gwardzistom konkretne rozkazy w przemówieniu, które było potem rozpowszechniane w całym kraju. „Choć kapitaliści zostali zwyciężeni – mówił – wciąż knują i usiłują przywracać stary sposób myślenia, starą kulturę, stare zwyczaje i stare nawyki, aby w ten sposób deprawować lud, opanowywać ludzkie serca i stopniowo odzyskiwać władzę”. Lin Biao wzywał czerwonogwardzistów, aby zniszczyli te „cztery stare rzeczy”.

Jeszcze w tym samym miesiącu komitet partii przy brygadzie produkcyjnej, w której pracował Zhou – liczącej około tysiąca osób – sformował dwunastoosobowy oddział Czerwonej Gwardii. Liczba nie była przypadkowa: Chiny szykowały się do wojny (przeciwko sobie), a w chińskiej armii drużyna piechoty liczyła dwunastu ludzi. W miastach czerwonogwardziści zakładali na ramiona czerwone opaski, ale na głębokiej, zacofanej prowincji tylko naczelnika drużyny było na to stać. W grupie, w której znalazł się Zhou, było ośmiu przedstawicieli zespołów produkcyjnych, jeden nauczyciel, dwóch miejscowych aktywistów partii i sam Zhou jako przedstawiciel uczniów.

Ojciec Zhou dbał o to, aby jego syn dobrze się uczył – i rzeczywiście chłopak miał dobre stopnie. Rok wcześniej skończył szkołę

podstawową, ale nauka w szkole średniej była luksusem dostępnym jedynie dla uczniów poleconych przez partię. Z całej klasy Zhou przywileju tego doświadczyło jedynie dwóch chłopców – krewny dyrektora i syn przywódcy zespołu produkcyjnego. Jedenastoletni Zhou był wysoki jak na swój wiek i mocno opalony od ciągłego przebywania na dworze. Tego lata miał jak zwykle pracować przy zbiorach kukurydzy. Zamiast tego wziął udział w nowej rewolucji.

Zhou i jego oddział Czerwonej Gwardii chodzili od wioski do wioski i bili ludzi należących do pięciu najniższych „kast” w komunistycznych Chinach: byłych posiadaczy ziemskich, bogatych chłopów, kontrrewolucjonistów, ludzi o „złym urodzeniu” i „prawowców”. Te kategorie „wrogów klasowych” pochodziły jeszcze z lat 20. XX wieku, kiedy to młodzi komuniści rozchodzili się po całym kraju i definiowali klasową przynależność wielu rodzin. Większość Chińczyków miała szczęście być beznadziejnie biedna, toteż otrzymywała etykiety „biednych chłopów” lub „proletariatu”, co chroniło przed niebezpieczeństwem. Każdy jednak, kto został uznany za członka jednej z pięciu „złych klas”, w najlepszym razie stawał się przedmiotem prześladowań, bicia i upokarzania, zaś w najgorszym – trafiał przed pluton egzekucyjny. Raz przypięta „etykieta” trzymała się członków rodziny przez całe dziesięciolecie.

Tak właśnie miała się sprawa z kobietą w średnim wieku, bitą na centralnym placu wioski. Kilka dni wcześniej jej syn bił się z innym chłopcem. Kobieta rozdzieliła ich, wymierzając obu policzki. Niestety, według pokrętej logiki rewolucji kulturalnej znalazła się tym samym na z góry przegranej pozycji – bo wiele lat wcześniej jej rodzina została uznana za „bogatych chłopów”, podczas gdy chłopiec, z którym bił się jej syn, pochodził z rodziny „biednych chłopów”. Oddział Czerwonej Gwardii, do którego należał Zhou, postanowił dać jej nauczkę. Zmusili cały zespół produkcyjny – około setki ludzi – żeby wymierzili jej taką samą karę, jaką ona wymierzyła chłopcom. Musiała klęczeć na wioskowym klepisku, a wszyscy po kolei bili ją w twarz. Kiedy „lekcja” się zakończyła, kobieta odmówiła przyznania, że postąpiła źle.

– Gówna się nażryjcie! – wrzeszczała w kierunku swoich prześladowców.

Wtedy czerwonogwardziści wysłali Zhou do najbliższego wychodka, żeby nabrał nieco fekaliiów do drewnianego kubelka i rozcieńczył

je wodą. Dowódca oddziału wziął drewnianą łyżkę i wlewał cuchnącą ciecz do gardła kobiety. Potem była już cicho.

Przez kolejne tygodnie i miesiące Zhou i jego grupa rozwalali buddyjskie świątynie, zmuszali mnichów do chodzenia w kółko z głazami taszczonymi na plecach i koszami na śmieci na głowach, niszczyli ścienne malowidła buddyjskich bogów, zamalowując je czerwoną farbą. A kiedy farba wysychała, przyjeżdżał specjalista z wydziału propagandy i malował na niej portrety Mao.

W poszukiwaniu kontrrewolucyjnej kontrabandy – książek, fotografii, biżuterii, bibelotów, wszystkiego co mogłoby reprezentować „cztery stare rzeczy” – Zhou i jego oddział rozpruwali materace, grzebali w kominkach, przekopywali się przez zakonserwowane warzywa. Jeśli na okapie dachu widniał wizerunek feniksa czy smoka, odrąbywali go – bo takie płaskorzeźby uznawane były za „feudalne”. Rewidowali półki i komody, rekwirowali złoto, srebro, wszelką biżuterię, wszystko to, co partia uznała za „dobra burżuazyjne”. Jeśli ktoś odmawiał oddania dobrych ubrań, bawełnianych ściereczek, nietkanego lnu – odbierano mu to siłą. Drużyna zabierała takie łupy dla siebie lub rozdawała je wśród znajomych. Były to zwykle kradzieże – tyle, że usankcjonowane przez komunistyczne państwo – specyficzna, wymuszona redystrybucja dóbr między jedną a drugą grupą nędzarzy.

Zhou wspominał, że najbardziej fascynowały go ogniska, w których palono książki. Nie zniszczył jednak ani jednej książki z własnego domu – tym zajęli się kuzyn i starsza siostra którzy, chcąc pokazać rewolucyjny zapał swojej rodziny, przetrząsnęli dokładnie cały dom, a następnie ułożyli na podwórzu stertę starych tomów i sami ją podpaliłi. Zhou zdołał uratować dziesięć tomów – zawiązał je w lnianą torbę i ukrył w piwnicy, w której trzymano bataty na zimę. Trzy lata później, kiedy rewolucja kulturalna na jakiś czas nieco przycichła, Zhou wydobył książki z piwnicy. Prawie wszystkie zgniły – w całości zachowała się tylko jedna, wybór chińskich utworów literackich wydany przez uniwersytet w Pekinie. Zhou zatrzymał ją. Do dziś czuć ją pleśnią i brudem.

Zhou był bardzo dumny z tego, że jest członkiem Czerwonej Gwardii. Czuł się, jak dziś wspomina, jakby pozwolono mu bawić się z dużymi chłopcami. Nie myślał oczywiście o tym, że chowanie książek w piwnicy to typowe zachowanie kontrrewolucyjne... Pierwsze

zdanie, którego nauczył się w szkole – podobnie jak wszyscy chińscy uczniowie – brzmiało „Niech żyje Przewodniczący Mao!”. Wypełnianie rozkazów Przewodniczącego dawało przedwcześnie dorosłemu jedenastolatkowi poczucie celu i własnej wartości. „Im bardziej bezlitośni jesteśmy dla wrogów, tym bardziej miłujemy lud!” – śpiewali członkowie Czerwonej Gwardii.

Podstawowym celem rewolucji kulturalnej była instytucja rodziny – ostatni bastion tradycyjnej, konfucjańskiej kultury. Poprzednie kampanie miały przede wszystkim zapewnić komunistom pełną kontrolę nad sposobem myślenia Chińczyków. Tym razem chodziło o to, żeby zniszczyć podstawowe cechy tradycyjnego chińskiego społeczeństwa: lojalność wobec rodziców, rodzeństwa, przodków. Mao zakładał, że jeśli wyrwie się Chińczyków z ich rodzin, łatwiej będzie zamienić ich w ludzi lojalnych wyłącznie wobec partii i jej przywódcy, czyli samego Mao, nazywanego w jednej z propagandowych pieśni „czczonym i ukochanym ojcem ludu”.

Na początku września 1966 roku oddział, do którego należał Zhou, bezlitośnie pobił pewnego starca, oskarżanego o to, że nigdy był właścicielem ziemskim. Jeszcze tego samego dnia staruszek – chcąc uniknąć dalszych tortur – popełnił samobójstwo. Jednak czerwonogwardziści nie uznali tego za zakończenie sprawy: zmusili trzech synów zmarłego, żeby obnosili jego ciało po całej wsi. Później kazali im podzielić ciało na trzy części i wrzucić do koryt z jedzeniem dla świń. Gdyby odmówili, niewątpliwie zostaliby nazwani „trującym nasieniem klasy feudalnej” i sami zostaliby poddani prześladowaniom.

Rewolucja kulturalna miała szczególnie niszczący wpływ na społeczeństwo, bo w Chinach moralność opierała się przede wszystkim na szacunku dla starszych i pielęgnowaniu więzów rodzinnych. Chińczyk nie musiał wstydzić się za złe czyny przed Bogiem, ale przed przodkami. Trudno było wyobrazić sobie większe wykroczenie przeciw moralności, niż zbezczeszczenie zwłok własnego ojca, do czego zmuszono tych trzech chłopców. Mao jednak chciał właśnie stworzyć zupełnie nową moralność, chciał zerwać wszelkie więzy łączące teraźniejszość z przeszłością. Bracia byli szczuci przeciwko siostrze, rodzice przeciwko dzieciom, żony przeciwko mężom. Każdy miał obowiązek donosić na swoich najbliższych – bo tylko w ten sposób

władze mogły poznawać najbardziej osobiste myśli i działania. Chiny stały się społeczeństwem donosicieli. Kapuś stał się ikoną rewolucji.

Także oddziały Czerwonej Gwardii – takie jak ten, do którego należał Zhou – polegały na takich informatorach. Pewnego sierpnio-
wego wieczoru do czerwonogwardzistów dotarła wioskowa plotka: podobno krewni Zhou popełnili poważne przestępstwo polegające na paleniu papierowych pieniędzy – chodziło o starożytny zwyczaj związany z oddawaniem czci przodkom w czasie Święta Głodnych Duchów, kiedy to według starych wierzeń otwierają się bramy piekieł i duchy wędrują po ziemi. Czerwonogwardziści otoczyli dom krewnych Zhou, wyciągnęli członków rodziny na zewnątrz i powiesili ich za nogi na drzewach rosnących nad stawem. Tak wiszących – pobili. Zhou był mocno sfrustrowany, bo nie potrafił w takiej sytuacji naprawdę mocno uderzyć: za każdym razem, kiedy wymierzał cios, wiszące ciało obracało się. Cała rodzina pozostała w tej pozycji do późnego wieczoru.



Zhou opowiadał mi to wszystko nad miską wołowiny z makaronem w modnym nankińskim barze Magazine, mieszczącym się w piętrowym budynku ze szkła i sztucznego marmuru. Siedzieliśmy na wygodnych sofach, obsługiwały nas kelnerki w bejsbolowych czapczkach na głowach. Była wczesna jesień, wokół nas siedzieli parami młodzi ludzie z papierosami w rękach, popijając owocową herbatę i gawędząc. Ich telefony komórkowe dzwoniły co chwilę dźwiękami najnowszych dyskotekowych przebojów i charakterystycznymi motywami z filmów o Jamesie Bondzie.

Słyszałem i czytałem wiele opowieści ofiar rewolucji kulturalnej i innych chińskich kampanii politycznych, ale nigdy przedtem nie spotkałem osoby, która przyznałaby się do tego, że sama była prześladowcą. „W Chinach nikt nie przyzna się do tego, że brał udział w torturach – powiedział Zhou. – Każdy mówi, że był ofiarą. Ale wystarczy policzyć: jeśli mamy tyle ofiar, to musimy także mieć wielu oprawców”.

Zhou przyznał, że nie czuł wyrzutów sumienia z powodu znęcania się nad sąsiadami, krewnymi, nauczycielami: „Robiłem to, co mi kazali. Miałem jedenaście lat. Podobało mi się to”.